


Prenumerata w Polsce: Kwart. z przes. 988.000 — Mk. Półrocznie 1,976.000 — Mk. Rocznie 3,952.000 —
Ameryka: 12 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 23 centimów.
CENY OGŁOSZEŃ: Od wiersza milim. jednoszp. na str. ostatniej Mk. 4·000, od wiersza milim. jednoszp w części redakcyjnej Mkp. 10·000.
Konto P. K. O. Nr. 140.260. Konto Bank Związku Spółek Zarob. w Krakowie.



Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Redakcja otwarta dla stron od 10 — 12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.
Numer pojedynczy 80000 Marek.

Rok XX. Kraków, 1 grudnia 1923. Nr. 48.

# Samobòjstwo na grobie ukochanego

**Dzieci grabarza znachodzą na cmentarzu zwłoki kobiety.**



Uczczenie genialnej Polki we Francyi: P. Curie-Skłodowska.

## Samobójstwo na grobie ukochanego.

(Do illustracyi tytułowej).

W zmateryalizowanych naszych czasach, kiedy pogoń za pieniądzem jest całem wyznaniem wiary, a zdobycie dostatniego bytu przykazaniem człowieka — każde uczucie silne, nieegoistyczne a wierne wzbudza mimowolny szacunek i podziw, chociażby w rezultacie uczucie to prowadziło na manowce, a nawet w przepaść grobową, z której się już wydobyć nie można.

Wynikiem takiego rozpacznego przywiązania i niepohamowanego bólu po stracie ukochanego — była śmierć młodej i przystojnej dziewczyny.

Ewa Lichowiec. biedna szwaczka, panienka niespełna jeszcze lat 20-tu utrzymywała bliski stosunek z pewnym niższym funkcyonaryuszem sądowym niejakim Alfredem Bandziewiczem w miasteczku Konstantynówce na Wschodnich Kresach Polski.

Bandziewicz uległ przed niedawnym czasem tak strasznej a rozpowszechnionej chorobie suchot i pomimo najtroskliwszej pielęgnacyi kochanki zmarł.

Biedna dziewczyna odwiedzała codziennie grób umiłowanego.

Pewnego razu późnym jesiennym porankiem bawiące się na cmentarzu dzieci grabarza — zrobiły straszne odkrycie:

Na jednym z grobów ujrzały leżącą bez życia młodą osobę...

Poznano w niej potem biedną szwaczkę Ewę Lichowiec, która nie mogąc przeboleć śmierci ukochanego — na grobie jego odebrała sobie życie... Zabójcza trucizna położyła kres jej cierpieniom i rozpaczy.

## Uczczenie genialnej Polki we Francyi.

Znakomita nasza uczona, która przed kilku laty dokonała genialnego odkrycia pierwiastka „radium" — została odznaczoną w nader wyróżniający a zaszczytny sposób w Paryżu.

Oto wniesiono do Izby deputowanych projekt przewidujący dla pani Curie-Skłodowskiej roczną pensyę w wysokości 40 tysięcy franków.

Jest to odznaczenie niepospolite i niewielu tylko uczonym dostaje się ono w udziale, nie mówiąc już o praktycznej stronie tego aktu gwarantującego pokaźną. sumę dożywotniej pensyi.

Co się tyczy odznaczonej, to nazwisko jej jest zbyt głośnem w Polsce i całym świecie, by na tem miejscu jeszcze przypominać Jej zasługi.

O radzie odkrytym przez naszą genialną rodaczkę tak się wyraża słynny francuski przyrodnik dr. Allefrice Maurycy:

„Jest to pierwiastek niepojęty, cudowny, pierwiastek niemal o boskich przymiotach. Jest wieczny, niespożyty, o tajemniczej władzy, jaką na wszystko wywiera, sam zaś żadnym wpływom nie ulega... Jeżelibyśmy sobie fizycznego Boga pomyśleć mogli, to najintegralniejszą a zarazem najświetniejszą częścią składową jego istoty — byłoby radium".

## Nawrócenie współczesnego apostaty.

O księdzu W. Faronie, o jego wesołej apostazyi z rewoltą dewotek, oblężeniem reformatora na wikarówce przez wojsko i policyę, wyciągnięciem go z łóżka niemal wprost do kozy i o ostatnim akcie tej tragi-farsy, powstaniem i masową wędrówką zrewoltowanych histeryczek z rodzinnej wsi do Krakowa jako „straż honorowa prześladowanego pasterza" — o tem wszystkiem szeroko i długo rozpisywała się tak poważna jak i humorystyczna Prasa.

Osobą spekulanta czy narwańca w sutannie mało kto się zajmował potem.

Gdzieś tam słuchy dochodziły, że ks. Faron „przystał" do Kościoła narodowego. Nie długo jednak w nim popasał. Jeden z klerykalnych krakowskich organów ogłasza następujący list „zbłąkanego pasterza".

„Ja niżej podpisany bawiąc obecnie na rekolekcyach we Lwowie, a poznawszy swój błąd, oświadczam publicznie, iż z kościoła narodowego wystąpiłem, jego działalność potępiłem, za zgorszenia z tej racyi dane parafian przepraszam i życzę im rychłego za mną powrotu do Kościoła rzymsko-katolickiego. Ks. Biskupa tarnowskiego, oraz ks. Biskupa Sufragana najpokorniej za swe wykroczenia publicznie przepraszam. Ks. W. Faron. Lwów, dnia 18 listopada 1923".

Tak się zakończyło prześladowanie, męczeństwo, no i prawdopodobnie karyera ks. Farona.

## „Zwycięzca skrzydlaty" na Rynku krakowskim.

Przed kilku dniami miał Kraków niezwykłą senzacyę.

Poranną publiczność zdumiał o godzinie 9 olbrzymi aeroplan, który kadłubem swoim rozsiadł się na Rynku od ul. Szewskiej. Około niego krzątało się mnóstwo żołnierzy-monterów, zajętych ostatecznem wyekwipowaniem latawca.

Tłumy zaległy całą tą połać Rynku, tak, że chwilowo musiał być pieszy i kołowy ruch wstrzymany, a nawet tramwaje stanęły.

Co to ma wszystko znaczyć? Oto przedsięwzięte będą zdjęcia filmowe do wielkiego patryotyczno-propagandowego widowiska p. t. „Zwycięzca skrzydlaty".



Nawrócenie współczesnego apostaty: Ksiądz W. Faron

Gdy aeroplan ruszył z miejsca dokonano zdjęć filmowych, które mimo złej pogody miały podobno wypaść bardzo dobrze. Akcją artystyczną kierował reżyser p. Zygmunt Wesołowski z operatorem i sztabem pomocników.

„Skrzydlaty zwycięzca" opada na Rynek. W aparacie siedzi znakomity artysta dram. p. Józef Węgrzyn z towarzyszką inscenizowanej podróży p. Karpińską, żoną kapitana, autora libretta tego filmu. Oboje w kostyumach pilotów i charakteryzacyi filmowej.

P. Węgrzyn, grający bohatera, w płomiennej przemowie wzywa wszystkich do wstąpienia do Ligi Obrony powietrza. Niebywały entuzyazm ogarnia publiczność, która współgrała z artystami, co ułatwiło niezmiernie zdjęcia.

W międzyczasie — gdy reszta aktorów charakteryzowała się na pobliskim Odwachu — dokonano przy oświetleniu wszystkich lamp gazowych — kilka zdjęć z kolumn i podcieni Sukienic, prócz tego parę drobniejszych z artystów pp. Klońskiej, Rotterowej i Szarskiego.

Rycina nasza przedstawia chwilę przemowy p. J. Węgrzyna z aeroplanu na Rynku krakowskim.





„Zwycięzca skrzydlaty" na Rynku krakowskim: Artysta dramatyczny J. Węgrzyn przemawia z aeroplanu do tłumów.





Niemiecki kolos pada:
Policya w Berlinie powstrzymuje pochód demonstrantów. Policya oczyszcza z demonstrantów Plac Aleksandra w Berlinie.

# Niemiecki kolos pada.

Niemiecka Rzesza rozkłada się, butwieje u fundamentów i grozi lada dzień runięciem. Rozkłada się wskutek wewnętrznej anarchii spowodowanej wielką klęską w największej, a decydującej o jej losach wojnie, ginie wskutek złej a przewrotnej polityki i przeniewierczości i buty narodu, który nie może się pogodzić z konsekwencyami łajdactwa dawnych i obecnych swych rządów.

To, co się obecnie w Niemczech dzieje są to bezprzykładne w historyi świata rzeczy. Stolica państwa, zarówno jak południowe (Bawarya) północne (Hamburg i Pomorze niem.) i zachodnie (Nadrenia) krańce objęte są tym pożarem, w którym dawna potęga państwa płonie i w perzynę się obraca.

Pisaliśmy już o tem kilkakrotnie — i w niniejszym numerze przynosimy kilka interesujących szczegółów tego rozkładu i chaosu (patrz „Rplta Nadreńska" i „Niespodziewany powrót Kronprinca"). Na tem miejscu podajemy szereg illustracyi przedstawiających groźne zaburzenia komunistyczne w Berlinie i Monachium.

## Niespodziany powrót niemieckiego Kronprinca.

Dopóki były Kajzer niemiecki i b. Kronprinc używają względnej wolności osobistej i nie znajdują się w bezwzględnem odosobnieniu od reszty cywilizowanego świata, jak swego czasu Napoleon I. lub ostatnio Karol austryacki — dopóty krwawa zmora ponownej burzy światowej zawsze Europie zagrażać będzie.

Zrozumiały to wszystkie sojusznicze państwa z wyjątkiem jednej Anglii, która nie tyle może z pobratymczej sympatyi dla Niemców, ile raczej nie chcąc dopuścić do dominującego wpływu odwiecznej swej dziejowej rywalki Francyi — z bardzo małą stanowczością zajmuje się doniosłym problemem powrotu Hohenzolernów do Niemiec.

Że obawy Francyi w tej sprawie nie są bynajmniej przesadne — jest najlepszem dowodem zuchwały powrót niemieckiego Kronprinca do swych dóbr Oels na Śląsku pruskim, leżących więc na terytoryum Rzeszy niemieckiej.

Powrót ten jest tem bardziej znamienny, ile że Ententa wobec bezczelnego oporu Niemiec w sprawie reparacyi i rozbrojenia postanowiła użyć surowych represalii, a Francya grozi nawet zajęciem Hamburga i Monachium.



**Niespodziany powrót niemieckiego Kronprinca:** B. następca tronu Fryderyk Wilhelm na przechadzce z żoną w parku Oels na Śląsku pruskim.

Cesarz Wilhelm jest podobno zdumiony i zaskoczony krokiem swego syna, podobno nawet, że zazdrości mu powrotu i w swem Doorn przemyśliwa i nad swoim powrotem, boć trudno staremu łotrowi dać wiarę, że „z niewdzięcznym swym narodem nie chce nic mieć wspólnego i do Niemiec nigdy nie wróci".

Kronprinc tymczasem nie troszczy się ani o swego ojca ani o opinię świata używa wraz z swoją żoną wywczasów w Oels, czekając zapewne aż wypadki dziejowe „dojrzeją" i on znowu będzie mógł na szerszą widownię wypłynąć.

## Rzeczpospolita Nadreńska.

Dnia 21. października w niedzielę o 5 godzinie rano w Aix la Chapelle Leon Deckers zupełnie samorzutnie ogłosił Republikę nadreńską.

Przy pomocy zakonspirowanych swych towarzyszy Deckers wyrzucił kilku funkcyonaryuszy pruskich władz i na ich miejscu sam się zainstalował.

Nazajutrz o 7 godzinie wieczór tłum wyległ na ulice sąsiadujące z „Preussiche Regierung" gdzie republikanie zajęli swe stanowisko. Przyszło do strzelaniny. Sekretaryat partyi separatystycznej został splądrowany i tłum ustąpił dopiero pod naporem wojsk belgijskich, wydając dzikie okrzyki: „Na śmierć!".

Wice-konsul angielski N. Fein starał się wymusić od Deckersa rodzaj abdykacyi gwarantując mu w danym razie bezkarność i bezpieczeństwo. Wskutek odmowy Deckersa żandarmi belgijscy oczyścili ulice — równocześnie został ogłoszony stan oblężenia. Zamknięta została szkoła politechniczna, ponieważ uczniowie jej fanatyczni nacyonaliści brali żywy udział w ulicznych walkach.

W piątek 26. października o godz. 6. rano policyanci niemieccy zajechali wozem automobilowym przed gmach Preusiche Regierung, gdzie schronił się sztab powstańców i zaczęli szturm, przyczem Deckers omal że nie został ujętym.

W Aix la Chapelle oddział separatystów zamknął się w ratuszu.

Po zdobyciu ratusza w Aix wice-konsul brytyjski M. Fein złożył wizytę przedstawicielom władz belgijskich prosząc o ochronę przed zamachami separatystów.

Jak z szeregu tych epizodycznych, ze zmiennem szczęściem prowadzonych walk widzimy — wrzenie w Nadrenii przybiera wcale poważne rozmiary i przyczynia się do tem większej dezorganizacyi potężnego do niedawna jeszcze kolosu niemieckiego.





**Niemiecki kolos pada:**
Barykada zdobyta przez wojsko na komunistach w ulicach Hamburga. „Reichswehra" w Hamburgu odstrzeliwa się z dachów — bojówkom komunistycznym.



Niemiecki kolos pada: Szumowiny berlińskie plądrują sklep spożywczy.

dem, a siłą swego rozpędu ciągnie drugi podobny wóz w przeciwnym kierunku (pod górę). Wyobrażamy sobie, że do odbycia tej niezbyt zresztą długiej podróży — trzeba mieć zdrowe, prawdziwie „amerykańskie" nerwy,



Rzeczpospolita Nadreńska: M. Deckers przywódca ruchu separatystów.

## Radio-telefoniczny kościółek.

Radio telefon roznosi lotem błyskawicy ostatnie wiadomości polityczne i giełdowe, głosi najnowsze tryumfy nauki i ściga w imieniu prawa zbrodniarza, który w szerokim świecie chce uciec przed ludzką sprawiedliwością.

Nie słyszeliśmy jednak dotychczas o tem, by radiotelefon, który zastępuje już a raczej wyręcza męża stanu, urzędnika kryminalnego i uczonego, mógł w dalekie strony głosić słowo Boże!

A jednak tak jest! Najnowszy wynalazek (oczywiście amerykański), przystosowany do telefonu iskrowego wprzągnięty został w służbę kościelną. Na załączonej rycinie widzimy miniaturowy kościółek zmontowany na automobilu. W środku małej świątyńki prócz zwykłego kościelnego urządzenia znajduje się i nadawcza stacya radio-telefoniczna za pośrednictwem której docierają budujące kazania i kościelna muzyka w strony pozbawione stałych przybytków Bożych.

## Uczczenie bohaterów-studentów w Paryżu.

Celem uczczenia pamięci 528 studentów Szkoły centralnej poległych na polu chwały we Francyi koledzy bohaterów wznieśli pomnik, w którego poświęceniu wziął udział i prezydent Republiki.

Pomnik chwały projektowany i wykonany przez dawnego ucznia Szkoły, architekta Leprince-Ringuet, rzeźbiony przez p. Gaumont przedstawia się jako łuk pamiątkowy na bramie szkoły. Każdego dnia uczniowie udając się do szkoły przechodzić będą musieli pod portykiem gdzie na długich tablicach marmurowych wyryte są imiona poległych.

Na szczycie wznosi się postać Minerwy, na filarach rzeźby artylerzysty i lotnika. W środku personifikacya pokoju otoczonego aniołami.

W przemowach podniesiono chlubną działalność Szkoły, która prócz nauki wszczepiła w młodociane serca bohaterstwo i miłość Ojczyzny, ktorych to cnót tak wymowne dowody złożyli polegli w obronie kraju — studenci.

## Karkołomna podróż nad Niagarą.

Szybka i pewna lokomocya zannulowała rzec można — przestrzeń i czas. Parowe i elektryczne koleje, balony i aeroplany pędzą, szybując po lądach i morzach w przepaściach ziemi i powietrznych przestworzach niosąc człowieka tego tytana woli i geniusza.

Do najbardziej ryzykownych i karkołomnych podróży i środków lokomocyi należy z pewnością powietrzna kolej nad wodospadem Niagary.

Wodospad ten, jak wiadomo największy na świecie — o niezgłębionem dnie i nieobliczalnej sile spadania — utworzony jest przez rzekę tejże nazwy, odgraniczającej Kanadę od St. Zjedn. (Stan N. Jorku). Przez rzekę prowadzą 4 mosty, z których dwa są kolejowe.

Nad samym wodospadem przeprowadzono ostatnimi czasy kolej napowietrzną. Urządzenie jej dość proste: na stalowej grubej linie zawieszony jest wagon pasażerski, który własnym ciężarem w zawrotnym pędzie przelatuje ponad wodospa-



Uczczenie bohaterów-studentów w Paryżu: Łuk pamiątkowy na bramie Szkoły Centralnej, poświęcony pamięci poległych studentów. Obok bramy przechodzi Prezydent Rpltej z dygnitarzami.

Fryderyk Mauzens.

# Z BAGNA PARYŻA

3

Służący zjawił się po chwili z drugą butelką z 68 roku, która już nieco więcej smakowała miliarderowi. Piotr rzucił okiem na kartę win. Butelka Laffitte z tego roku, została oceniona na czterdzieści dolarów, a ponieważ Lewis zażądał dwóch, wyniosło więc to czterysta franków.

Tymczasem Piotr, jedząc przedstawił swój interes. Lewis Jackson zgodził się zająć sfinansowaniem przedsiębiorstwa.

— Dawniej — mówił — nie chciałbym nawet słyszeć o tem... Unikałem wszystkiego, co mogłoby mi przypomnieć Francyę i czasy, w których byłem Julianem Maixent... Teraz jednak nie zważam już na to... Odzyskałem całą swą zimną krew...

Przy deserze przedstawiał w głównych zarysach przy złą fabrykę.

— Kto będzie dyrektorem? — zapytał. — Czy macie kogo upatrzonego?

— Ja nim będę — odpowiedział młody człowiek.

— Osiądziesz w Ameryce?

— Tak.

— *All right!*

Lewis Jackson zwrócił się do służącego i rzekł mu po angielsku:

— Proszę przynieść mi jeszcze „gwoździa do trumny".

„Gwóźdź do trumny" jest to trunek amerykański, tak zwany, ponieważ każdy jego kieliszek skraca życie pijącego o kilka dni. Wśród innych rekordów Amerykanie zdobyli i rekord trunków.

Miliarder pytał dalej Piotra:

— A więc w dwudziestym czwartym roku życia, bogaty, sławny i przystojny, wyrzekasz się Paryża?

Młody człowiek uśmiechnął się smutnie.

— Tak jak i wuj wyrzekł się niegdyś — odpowiedział.

— Ach, ja co innego!...

— Dlaczego jednak nie miałbym wyznać przyczyn, które mnie do tego skłoniły?

— *Well, my dear!* Jesteś moim siostrzeńcem a ja także cię polubiłem... Mam więc podwójne prawo do twej ufności.. Mów otwarcie!..

Przed miliarderem tymczasem postawiono wazę kryształową i tacę z najrozmaitszemi butelkami. Lewis Jackson zaczął przygotowywać „gwoździa do trumny" z taką staranością, jaką można nieraz obserwować tylko u Paryżan, zajętych przyrządzaniem absyntu.

— Kochałem młodą pannę .. — zaczął Piotr. — Chciałem ją poślubić... Pochodziła ona z niezamożnej rodziny..

Jakiś złowrogi cień zamalował się w szarych oczach Lewisa Jacksona. Wywołało go albo ostatnie zdanie Piotra, albo też butelka, którą w tej chwili otwierał business-man.

— Cóż to za wódka? — rzekł do służącego. — Dajcie coś lepszego!

— Mamy stare koniaki — odparł garson.

— Proszę mi dać najlepszego!...

— Najlepszy jest z 1800 roku... Pozostały nam go tylko trzy butelki... Każda kosztuje dwieście dolarów...

— Proszę je przynieść.

— Wszystkie trzy?

— Tak... Jednej użyję tutaj, a dwie inne zabiorę z sobą.. Hallo! my dear! — zwrócił się Lewis Jackson do swego siostrzeńca. — Dlaczego przerwałeś? Często prowadzę kilka rozmów odrazu z różnemi osobami i na najrozmaitsze tematy. Mówiłeś, że chciałeś poślubić młodą, bardzo niezamożną dziewczynę?...

— Tak.. Nauczycielkę panny de Lagunan.. Naraz pewnego dnia dowiedziałem się, że jest to pospolita kokietka...

— Ach! — zawołał Lewis i cała twarz jego zasępiła się odrazu.

Historya ta przypominała mu jego własną. Wspomnienia przeszłości nie przestawały go zajmować, jakby to się mogło zdawać na pozór.

— Znaleziono w pokoju tej nalei — ciągnął dalej Piotr — która nie ma jeszcze dziewiętnastu lat, całą kolekcyę listów miłosnych, adresowanych poste-restante...

Mocny człowiek przerwał swe zwierzenia. Twarz jego wuja stała się naraz zupełnie bladą. Nastało mil zenie.

Wszedł garson i przyniósł trzy butelki koniaku, z których jeden odkorkował zaraz i postawił na stole.

— I cóż ona powiedziała? — zainteresował się Lewis Jackson.

— Kto? — zapytał Piotr.

— Mała...

Miliarder schwycił butelkę koniaku i wylał ją prawie całą do wazy kryształowej, przyczem tak mu drżała ręka, iż rozlał trochę na stół.

— Powiedziała, że nie otrzymywała tych listów i że nigdy ich nie widziała.

Bladość Jacksona stała się teraz przeźroczystą.

— I któżby myślał — mówił dalej Piotr — że będzie tak czelną!

— Od kogo one były?

Zazwyczaj wyraźny i ostry nawet głos miliardera drżał teraz widocznie.

— Listy?... Od niejakiego Karola Turnera... Pobiegłem zaraz do pałacyku przy ulicy Godot-de-Mauroi gdzie odbywały się schadzki...

— Do pałacyku... — powtórzył Jackson i wypił jednym tchem duży kieliszek koniaku.

— Lecz historya ma zdaje się na wuja oddziaływa? — zwrócił uwagę Piotr. — Mówmy lepiej o czem innem.

— Opowiadaj dalej! — odrzekł miliarder. — Pobiegłeś tam i...

— Och, zakończenie wcale nie jest dramatyczne! Dowiedziałem się tylko, że ten Karol Turner jest Australczykiem i że nie łatwo go odszukać, gdyż stałe jego mieszkanie jest nieznane.

— I nie mogłeś go odnaleść?

— Mój Boże! Nie szukałem go długo... Po odzyskaniu zimnej krwi doszedłem do przekonania, że ten człowiek nie jest tu nic winien, a sprawczynią wszystkiego jest tylko Ludwika Dubois...

— Tak się nazywa ta młoda panna?

— Tak.

Lewis Jackson, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, zdawał się gonić w pamięci jakieś odległe obrazy.

— A mnę ma anielską... — ciągnął dalej Piotr z goryczą. — Pani de Lagunan i wuj jej, Maksym Duret, wybrali ją na nauczycielkę, dla zalet moralnych jak i dla jej wykształcenia...

Z piersi Lewisa Jacksona dobył się nagle jakiś dziki okrzyk i wstał tak gwałtownie, iż krzesło przewróciło się na podłogę.

— Co się stało? — zawołał przerażony i zdziwiony siostrzeniec.

Garsoni przyglądali się tylko ze zdumieniem tej scenie, nie rozumieli bowiem po francusku i nie wiedzieli, o czem toczy się rozmowa.

— Maksym Duret?... — rzekł miliarder co raz bledszy. Maksym Duret jest wujem tej damy, u której znajdowała się Ludwika Dubois?...

— Tak... Lecz Boże mój, co się stało? — proszę mi powiedzieć!..

Zamiast odpowiedzi, Lewis Jackson schwycił się za głowę.

— Czy ją śnię? — zawołał. — Czym ja oszalał?

Głos jego, drżący z początku, stał się teraz chrapliwy z oburzenia i gniewu.

— Nie! ja nie śnię! jestem przy zmysłach! Palce jego ściskały rozpaczliwie czoło.

— Panie!... Wuju!... — szeptał przerażony Piotr.

Służba zaczęła się niepokoić.

Lewis Jackson wziął nagle kapelusz z bocznego stołu i kładąc go na głowę, rzekł machinalnie:

— Chodźmy stąd! Chodźmy! Duszę się tutaj!

I nie czując, jak mu garson zarzuca futro na ramiona, wyszedł razem z młodym człowiekiem. Główny garson towarzyszył im z szacunkiem do drzwi z początku, potem odprowadził ich aż na ulicę. Gdy wsiedli już do samochodu i drzwiczki zatrzasnęły się za nimi, zapukał dyskretnie do okna. Piotr opuścił okno, mówiąc półgłosem:

— Nie uregulowaliśmy rachunku.

Garsoni, którzy podawali w gabinecie, patrzyli na nich zdaleka z zawiedzionemi minami. Miliarder domyślił się wreszcie o co chodzi. Wyjął z kieszeni portfel pełen banknotów i podał go kelnerowi, dodając na pożegnanie:

— Resztę proszę zatrzymać dla siebie.

## III.

Piotr kazał wracać szoferowi do hotelu. Samochód pędził znowu przez Brodway. Lewis Jackson wysunął głowę przez okno i nie ruszał się. Silny i zimny wiatr chłodził mu rozpalone czoło i uspokajał naprężone jego nerwy. Gdy zajechali, miliarder odetchnął głęboko i rzekł:

— Teraz mi lepiej!...

Na progu hotelu Piotr zawachał się, nie wiedząc, czy ma iść za wujem, usłyszał jednak zwrócone do siebie słowa:

— Chodź ze mną.

Gdy wchodzili do salonu, apartamentu na dziewiątem piętrze, zjawił się przed nimi sekretarz business mana. Był to mężczyzna między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia, wysoki, suchy, o twarzy koloru cegły. W ręku trzymał karty wizytowe:

— Oto osoby, które przychodziły w tym czasie — rzekł.

Nieobecność miliardera trwała tylko półtorej godziny, a przez ten czas sekretarz zebrał już piętnaście kart. Lewis Jackson jednak ani nie spojrzał, ani nie słuchał sekretarza, który mówił dalej:

— Sześć z tych osób przyjdzie później, a dziewięć czeka na dole.

Miliarder zrobił znaczący ruch, by go zostawiono w spokoju. Sekretarz domyślił się, że pan jego jest zajęty. Zaęty mógł on być jednak tylko jakąś sprawą, a ta sprawa nie mogła być ważniejsza od tej, o jakiej chciał z nim mówić jeden z przychodzących. Zaczął więc nalegać:

— Za godzinę będzie tutaj Walter Vanderbilt.

Lewis Jackson wziął w milczeniu te piętnaście kart wizytowych, otworzył okno i wyrzucił je na ulicę. Potem zamykając okno, dodał:

— Oto co zrobię z pierwszym, kto mi będzie przeszkadzał.

Sekretarz, nie odzywając się już ani słowem, znikł za drzwiami. Lewis Jackson przez chwilę chodził po pokoju. Ręce założył w tył, głowę opuścił ku ziemi i zdawało się, że uspokoił się zupełnie, podnosząca się tylko pierś, świadczyła o wewnętrznem wzburzeniu Zatrzymał się wreszcie przed Piotrem, podniósł głowę i rzekł głuchym głosem:

— Teraz, gdy owładnąłem już trochę sobą, posłuchaj mnie... Pojmiesz zaraz wszystko... Wiesz, że byłem żonaty?

— Wiem.

— Że poślubiłem młodą, ubogą pannę.

— Słyszałem od swego ojca, że było to małżeństwo z miłości.

— Tak, z miłości... A słyszałeś o tem, że żona mnie zdradziła?

— Mniej więcej.

— Lecz nie wiesz, w jaki sposób dowiedziałem się o jej niewierności?... Dzięki listom miłosnym, przysyłanym jej poste-restante!...

Piotr szepnął:

— Gdybym przypuszczał coś podobnego...

— Nie opowiadałbyś o tem, co tobie się przytrafiło?...

— Rozumiem teraz to wzruszenie...

— Nic jeszcze nie rozumiesz! Nie chodzi tu o wzruszenie, lecz o najstraszniejszą torturę moralną!

Lewis Jacksou schwycił się przytem pełnym boleści ruchem za piersi, w których serce biło tak silnie, iż zdawało się, że chce je rozsadzić.

— Panie... wuju mój... szeptał z współczuciem młody człowiek

— Pozwól mi dokończyć... Żona przysięgła mi na wszystko, że tych listów poste-restante nigdy ani nie otrzymywała, ani nawet nie widziała... Podpisane one były nazwiskiem Jan de Tourville i dotyczyły schadzek, obywanych w wynajętym pałacyku przy ulicy Alger... Pospieszyłem tam... Jan de Tourville przychodził tu tylko na rendez vous... Mieszkanie jego było nieznane... Nigdy nie mogłem go odnaleść...

Piotr otworzył szeroko ze zdziwienia swe oczy.

— To znaczy — rzekł — że to wszystko co odbyło się z wujem w...

— W 1897 roku...

— Powtórzyło się dokładnie ze mną w 1923?...

— Dokładniej nawet, niż to sobie wyobrażasz.

— Dokładniej jeszcze?

— W miarę, jak mi podawałeś nowe szczegóły — ciągnął Lewis Jackson — co raz bardziej dziwiło mnie podobieństwo faktów, aż wreszcie zaczęło mnie to przerażać.. Zastanowił mnie zwłaszcza ostatni szczegół... Do historyi twej wmieszani są Maksym Duret i jego siostrzenica!

— Tak!

— Byli oni również wmieszani i do mego, zupełnie podobnego dramatu z przed dwudziestu lat!

— To dziwne! — rzekł zdumiony Piotr.

— To straszne!

— Straszne?

— Tak, mój drogi! — zawołał Lewis Jackson, chwytając go za rękę i silnie nią wstrząsając. Taki zbieg okoliczności trudno tłómaczyć wypadkiem! Musiała tu być jakaś wstrętna machinacya, ofiarą której padła naprzód moja żona, a potem Ludwika Dubois.

Piotr stał się teraz tak blady jak i Amerykanin.

— Machinacya? — powtórzył bezdźwięcznym głosem. — Och! Ależ to byłoby za okrutne!

— Okrutniejsze nawet, niż sądzisz! Ty nie wiesz o tem, że znieważyłem Magdalenę...

— Magdalenę?

— Moją żonę... Znieważyłem ją, przeklinałem i wypędziłem... Pojechałem do Stanów Zjednoczonych, zostawiając ją samą i bez żadnych środków do życia.. O a może była niewinną.. Żyła całe lata w nędzy i rozpaczy...

Głos Lewisa stał się słabszym. Nie śmiał wyrazić głośno tego, o czem sama myśl go przerażała. Piotr zresztą nie słuchał go już wcale.

— Machinacya! — powtarzał młody człowiek. Ludwika nie dopuściła się tego, o co ją posądzono! A ja ją odepchnąłem, gdy wołała, że jest niewinną! Boże mój!

— Odepchnąłeś ją — rzekł Lewis Jackson. Możesz jednak prosić jej o przebaczenie... Ona żyje jeszcze.. Żona moja już umarła!

— Umarła! — zawołał Piotr, zapominając na chwilę o swem cierpieniu, wobec boleści jego nieszczęśliwego.

Usłyszał zaraz cichą odpowiedź Lewisa:

— Tak... Widziałem, jak umierała...

— Wuj więc powrócił do niej?

— Nie... jawiła mi się...

— Jakto?

— Pewnego wieczoru byłem sam w parku swej willi w Los Angelos w Kalifornii. Szedłem przez aleję palmową.. Nagle w ciemnościach ujrzałem przed sobą Magdalenę tak wyraźnie, jak ciebie teraz widzę... Zdawała się być wtedy w tym samym wieku, w jakim ją opuściłem i w sukni, jaką wtedy nosiła... Twarz jej jednak była przeźroczysta i oczy miała zamknięte. Naraz doznałem wrażenia, że w chwili tej właśnie we Francyi, o dwa tysiące kilometrów odemnie, umiera moja żona... Była to tak zwana halucynacya telepatyczna.. Magdalena miała wtedy trzydzieści dziewięć lat...

Po chwilowej przerwie miliarder mówił dalej:

— Była jeszcze młodą... Niedostatek jednak i zmartwienia wyciskają na nas piętno... Kto wie, czy nie cierpiała głodu!... A ja miałem czterdzieści milionów renty i wydawałem dziennie sto tysięcy franków!...

Lewis Jackson zamilkł znowu. Zaczął chodzić szybko od jednego rogu salonu do drugiego, jak gdyby chciał umknąć przed swemi myślami.

Piotr starając się opanować i zebrać swe myśli, rzekł:

— Lecz jakiżby miał cel autor tych machinacyi?... Wiem natomiast, jaką korzyść odniosłyby niektóre osoby z zerwania mego stosunku z Ludwiką.

Miliarder zatrzymał się i popatrzył na Piotra, który mówił dalej:

— Jakiż jednak interes mieli w odrywaniu wuja od żony?

Przy tem ostatniem zdaniu w umyśle Lewisa Jacksona zjawiła się nowa myśl. Schwycił się za włosy i zapytał głosem pełnym hamowanej wściekłości:

— Kogo rozumiesz przez te niektóre osoby? Maksyma Dureta i jego siostrzenicę?

— Tak.

— A dlaczegóż pragnęliby oni zerwania związku twego z ich nauczycielką?

— Gdyż gdyby nie ona, to prawdopodobnie ożeniłbym się z Kamillą de Lagunan...

— Tak, to ten cel! — potwierdził Lewis Jackson. — Ten cel!

Jego zimna krew, którą odzyskał w czasie jazdy z restauracyi do hotelu, opuszczała go znowu. Załamywał rozpacznie ręce i drżał z gniewu. Nerwy zawładnęły w końcu jego wolą, gdyż zakrył sobie rękami twarz i rozpłakał się.

— Przebaczenia, Magdaleno! Och! przebacz mi! — wołał rozdzierającym głosem.

Potem, zwracając się do Piotra, rzekł urywanemi słowy:

— Zobaczysz zaraz... jaki interes miał Duret i jego siostrzenica... w rozłączaniu mnie z żoną... Ten interes... tak..

Wielki business man, który z niezwykłą szybkością i jasnością rozwijał najbardziej skomplikowane sprawy, nie mógł teraz przedstawić swej prostej historyi. Przerwał i rzekł po krótkiem milczeniu:

- Opowiem ci to wszystko na okręcie.

- Jakim okręcie? — zapytał Piotr.

— Na który wsiądziemy.

I przy słowach tych podszedł do dzwonka elektrycznego i nacisnął go naprzód raz, potem dwa razy.

W tej samej chwili ukazał się sekretarz i służący.

— Smith — rzekł business man do sekretarza — musimy jak najprędzej jechać do Paryża... Jedzie i ten pan... Kiedy możemy opuścić Nowy Jork... Proszę się o to dowiedzieć.

Wysoki suchy człowiek o ceglastej twarzy zrobił w milczeniu pół obrotu, by wyjść.

— Johnie — zwrócił się milioner do służącego przygotujesz..

Nagła jakaś myśl zjawiła mu się w głowie, gdyż przerwał, popatrzył dokoła siebie i rzekł:

— Johnie, nie potrzebujesz już nic przygotowywać.. Smith, proszę zapłacić Johna i dodać mu jako gratyfikacyę tysiąc dolarów wraz z pochwalnem świadectwem, które podpiszę...

Słowa Lewisa Jacksona były zawsze zarazem i jego rozkazami. Służący ani nie drgnął.

— Co zaś do miejsc na okręcie — mówił dalej miliarder do sekretarza — to zamówi pan trzy.. Służącego nie biorę z sobą... Dla pana Cartelegue'a proszę zamówić cały apartament...

Wielkie okręty transatlantyckie mają dla wygody bogatych pasażerów oddzielne apartamenty składające się z kilku pokoi.

Piotr uczynił machinalnie ruch ręką na znak protestu.

— I proszę wziąć dwie kajuty dla nas — kończył miliarder — jedną pierwszej klasy i drugą drugiej klasy... To już wszystko!

Sekretarz i służący jak przyszli jednocześnie, tak wyszli razem.

— Jedziemy do Paryża? — rzekł Piotr.

— Natychmiast... Trzeba wszystko odrazu wyjaśnić...

— Och! tak!... Zaraz!.. Mój Boże, jak Ludwika musiała cierpieć, jeżeli jest niewinna! Jeżeli jej czułość, jej miłość nie są udane, ach! ten cios mógł złamać jej serce.

Lewis Jackson nie mówił już nic. Wkrótce i młody człowiek pogrążył się w myślach. W pięć minut później zjawił się znowu sekretarz. Powracał już z biura hotelowego, gdzie goście mogli nabywać dla siebie bilety kolejowe i okrętowe.

— Jedziemy za chwilę, o trzeciej godzinie na okręcie „Victoire" — rzekł:

All right! — zgodził się miliarder.

Opanował już siebie na tyle, iż twarz jego przybrała znowu maskę obojętności. Rysy twarzy pozostały zmarszczone, lecz były takiemi zawsze, wyrobione przez dwudziestoletnie życie pełne walk i wysiłków. Uścisnął Piotra za rękę i rzekł mu:

— Zobaczymy się za chwilę na okręcie.

Młody człowiek udał się natychmiast do hotelu, w którym się zatrzymał i stąd pojechał zaraz do przystani. Przybył tam właśnie na kilka chwil przed odjazdem okrętu. Pierwszem jego staraniem było odszukanie Lewisa Jacksona.

— Jest w swojej kajucie — poinformowano go.

— Gdzie ona się znajduje?

— W tyle.. w ober-oeck... numer 48 drugiej klasy.

— Drugiej?

— Tak, panie.

Piotr zdumiony udał się do wskazanego oddziały i zapukał do drzwi kajuty nr. 48.

— Proszę! — usłyszał wyraźny i metaliczny głos Jacksona.

Na środku kajuty klęczał na poduszkach miliarder i składał w niskim kufrze rzeczy.

Na widok młodego człowieka wstał i rzekł z prostotą:

— Ach, to ty!

Business-man odzyskał teraz już zupełnie swój flegmatyczny spokój, jaki wyrobił sobie przez dwadzieścia lat pobytu w Ameryce.

— Zdaje mi się, że dziwi cię mój kostyum? zapytał:

Miał na sobie zwyczajną czapkę, wartości najwyżej dwu franków, gumowy kołnierzyk i krawat z materyi imitującej jedwab. Zamiast dawnego futra z niebieskich lisów wisiało teraz na nim źle dopasowane i jakby już podniszczone palto. Spodnie i trzewiki odpowiadały reszcie ubrania.

— Nie pojmujesz, co znaczy mój strój — mówił miliarder — i kajuta drugiej klasy w której mam dwóch towarzyszy; a w dodatku jeden z nich, ogromny Bawarczyk zajmuje miejsca za trzech.

— Rzeczywiście... — przyznał się Piotr.

— A jednak jest to bardzo proste. Żona moja umarła z nędzy i z mej winy, jestem prawie tego pewny... Wobec tego byłoby niegodnem, gdybym ja żył w rozkoszach, a choćby tylko w godnie...

Powiedziane to było zimnym, stanowczym tonem.

— Rozumiesz już teraz, prawda? — zapytał Lewis Jackson.

Zamknął swój kufer i wsunął go pod łóżko.

— Wyjdźmy — rzekł. — Mój Bawarczyk zaraz powróci i będziemy wtedy jak dwa kawałki wołowiny, zakonserwowane w jednym pudełku.

To porównanie w guście czysto amerykańskim, powiedziane było w tym samym zimnym tonie. Ob dwaj mężczyźni opuścili kajutę i wyszli na pokład. Wzdłuż krytej galeryi, ciągnącej się koło balustrady, rozstawione były składane fotele. W chwili tej zbierał je służący okrętowy.

— Dlaczego sprzątacie te fotele? — zapytał miliarder po niemiecku.

Może niespokojnie... Fala mogłaby je znieść.

— A gdy kto zechce usiąść?

— Usiądzie gdzieindziej... Niema już tutaj nikogo.. Wiatr i fale spędziły wszystkich z pokładu.

Well! Bardzo mi na rękę,.. Chcę porozmawiać, a nie lubię, by mi przeszkadzano... Czy nie będzie ci zimno? — zwrócił się Lewis Jackson do Piotra.

— Mam futro... Lecz wujowi?

— All right! — odparł miliarder.

Służący złożył już i zabrał ostatnie fotele, gdy go zawołał Jackson:

Proszę zostawić dla nas dwa.

Służący zawrócił i postawił dwa fotele, za co otrzymał dolara. Niemiec, nieprzyzwyczajony do otrzymywania tak hojnych napiwków od pasażerów drugiej klasy, zwłaszcza za tak małą usługę, wyprostował się, oddał ukłon wojskowy, obrócił się na pięcie i oddalił się automatycznym krokiem pruskiego grenadyera na paradzie.

Jeżelibyśmy nie usiedli, silniejsze kołysanie okrętu mogłoby nas przewrócić — rzekł miliarder, zajmując jeden z foteli.

Piotr zajął miejsce obok niego. Okręt płynął już od pewnego czasu, pozostawiając za sobą Nowy Jork z jego ogromnemi przedmieściami i wjeżdżał na pełne morze. Ocean był siny. Szare niebo zaciemniło się jeszcze bardziej kłębami czarnego dymu, jaki wydobywał się z czterech ogromnych kominów transatlantyka. Galerya, na której znajdował się Lewis Jackson i Piotr była zupełnie pusta. Miliarder zwrócił się do swego towarzysza, wystawiając przez to swą twarz na podmuchy silnego wiatru.

— Well! — rzekł. — Zacznijmy swą rozmowę od miejsca, na którem ją przerwaliśmy.

- Piotr, obrócony plecami do wiatru, z czapką, nasuniętą głęboko na uszy i z podniesionym kołnierzem od futra, przygotował się do słuchania.

— Maksym i Łucya Duret — zaczął Lewis Jackson — mieli swój interes w tem, by rozłączyć mnie z żoną... Na tem stanęłem, prawda?... All right! Opowiem ci, co było dalej.

Zimna krew Amerykanina wydała się Piotrowi straszniejszą niż jego gniew.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Tajemnicze oczy.

(Powieść na tle notatek amerykańskich dedektywów).

— Nie panie, ale już o niej słyszałem, a nawet i o tem mi mówiono, że pani podobno ma jakieś zamiary...

— Ej, często więcej się mówi, niżeli potrzeba. Ot, bywam w tym domu, panna Ledna, nie przeczę, ale żadnych nie mam zamiarów. Zresztą, ileż to pięknych panien na świecie, z iloma się to rozmawia ilu pannom się nadskakuje, a jeszcze nie wynika z tego, aby zaraz myśleć o zaręczynach. Zresztą są o wiele piękniejsze. A — panie Stuart, co za szkoda, że pan nie byłeś wczoraj u Ruthvenów.

— Pewnie jakaś nowa piękność?

— Rzeczywiście niezwykła piękność, ale i niezwykła osoba.

— Jak też długo się będzie panu podobała?

— A zawsze pan złośliwy. To tylko powiem, że jej z innemi porównywać nie można

— Jakże pan się dowiedziałeś o tej kradzieży?

— Wczoraj wieczorem miałem być u Durandów, zapomniawszy, że to imieniny pani Ruthven, dziś więc poszedłem usprawiedliwić się i właśnie trafiłem na tę chwilę, kiedy Durand, chcąc odnieść pieniądze do banku, przekonał się, że mu je skradziono. Ale oto właśnie jesteśmy na miejscu i zaraz się pan dowie wszystkiego.

Zatrzymali się przed wspaniałą willą. Portyer wprowadził ich do westibulu, skąd po szerokich, marmurowych chodach udali się na piętro do bogato i gustownie urządzon go gabinetu, gdzie za chwilę zjawi się Durand.

— Przedstawiam panu najznakomitszego agenta z New Yorku, pana Neil Stuart — rzekł Arteveldt.

Durand wyciągnął ku Stuartowi serdecznie rękę na powitanie.

— Szczerze się cieszę, że pana poznaję; tyle o panu czytałem i słyszałem, że poznanie pana muszę nazwać istotną przyjemnością.

Neil Stuart już nieraz słyszał takie wyrazy, bo istotnie nie miał nietylko powszechne uznanie, ale i prawdziwy umiał sobie zdobyć szacunek dla siebie. Odpowiedział też na tę uprzejmość ukłonem grzecznym, ale z takim wyrazem twarzy. jakby przyjmował to, co mu się należało.

— Miło mi będzie służyć panu, jeżeli pan tego sobie życzy — rzekł Stuart.

— Ależ bardzo proszę i z najzupełniejszem zaufaniem powierzam panu całą sprawę.

— Jeżeli tak, to proszę pozwolić, abym przedewszystkiem zobaczył miejsce, w którem kradzież spełniono.

— Służę panu. Pieniądze miałem zamknięte w stoliku w pokoju sypialnym. Może panowie obydwaj ze mną pozwolą?

Stuart zbadał zamki u drzwi, zasuwy u okien, podnosił portyery, a nawet przypatrywał się dokładnie tapetom; zbadał też przyległe pokoje, a potem usiadł na fotelu, zakrył twarz rękoma, jakby zatopił się w myślach.

Nie przeszkadzano mu w tem, nie przerywano zamyślenia. Nagle Stuart powstał i spytał prędko:

— Wielu pan ma służących?

— Siedmioro — odpowiedział Durand, zdziwiony nieco tak obcesowem zagadnieniem.

— A wiele osób należy do rodziny?

— Troje, oprócz mnie, a to: moja żona, córka i jej towarzyszka.

— O której godzinie pan otrzymał pan pieniądze?

— Koło szóstej wieczorem.

— Czy pan je zaraz zamknął?

— Natychmiast, skoro tylko posłaniec się oddalił.

— Czy widział kto, jak pan pieniądze zamykał?

— Nikt zgoła. Byłem sam jeden w pokoju.

— Czy pan wspominał coś w gronie rodziny o tych pieniadzach?

— Tak. Zaraz siedliśmy do obiadu i mówiłem o tem przy stole, ale nie było żadnego służącego.

— Czy się pan nie myli?

— Zapewniam pana, że nie było nikogo ze służby.

— A więc tylko pańska żona, córka i jej towarzyszka wiedziały o tem?

— Tak panie.

Stuart ponownie się zamyślił, usiadłszy w fotelu, a po chwili wstał prędko i rzekł:

— Jeżeli pan chce odzyskać pieniądze, proszę mi pozostawić zupełną swobodę działania.

— Ależ proszę czynić, co pan uzna za stosowne. Powiem panu szczerze, że nie tyle mi zależy na odzyskaniu pieniędzy, ile na tem, aby wykryć tak zręcznego i zuchwałego złodzieja. Co pan o tem sądzi? Wszak to niezwykłe wydarzenie?

— W tej chwili nic jeszcze powiedzieć nie mogę. Ale jeszcze jedno. Czy wie kto u pana w domu o tem, kto jestem i po co przybyłem?

— Nie, panie. Moja córka jest w swoim pokoju, a moja żona tak się przeraziła tym w padkiem, że dostała silnego bólu głowy i nie wychodzi z pokoju.

— Czy nie mógłbym dzisiaj być u pana na herbacie, oczywiście, jako pański znajomy.

— Ależ i owszem, bardzo proszę. Bądźcie panowie łaskawi przyjść razem, a przedstawię pana mojej rodzinie, jako przyjaciela pana Artev ldta.

— A, to bardzo dobrze. Teraz panu pożegnam, a za pół godziny przyszlę tu panu ajenta policyjnego, który wybada pańską służbę. Niech pan służbę uprzedzi, że ajent przyjedzie. A gdy przy dę na herbatę, niech pan będzie łaskaw pamiętać o tem, że jestem tylko przyjacielem pana Arteveldta. Jeszcze jedna prośba. Gdy będziemy przy stole, zechce pan coś nadmienić o spełnionej kradzieży, ale dopiero wtedy, gdy przekroję na pół kromkę chleba.

— Co do tego, to już nie rozumiem — rzekł Durand nieco zakłopotany, a nawet niezadowolony.

— A jednak bardzo pana o to proszę i zapewniam, że pan tego nie pożałuje.

— Spełnię i to, chociaż nie umiem sobie zdać sprawy, na co to panu potrzebne.

— Dziękuję panu bardzo, a teraz do widzenia.

Durand pożegnał uściśnieniem ręki Stuarta i dodał:

— Czekamy z herbatą.

W pół godziny przybył zapowiedziany przez Stuarta agent policyjny. Wyglądał na człowieka dość pospolitego, coś w rodzaju zaniedbanego rękodzielnika. Figura przy tem niemiła, o rudych włosach i rudej brodzie, o ruchach ciężkich i niezgrabnych.

Wszędzie z głądał, obejrzał dokładnie wszystkie pokoje, a wreszcie udał się do kuchni, gdzie cała służba, bardzo zatrwożona, zgrom dziła się około starej kucharki, jakby kurczęta pod skrzydłami kury

Między służbą popłoch był wielki, bo właściwie żadne z nich jeszcze nie miało sposobności mieć sprawy z policyą. Ale jakiś duch wstąpił we wszystkich, gdy ów ajent policyjny, którego się tak bardzo lękano, okazał się wielce przyjacielskim i rozmownym człowiekiem. Rozsiadł się swobodnie w kuchni, żartował z pokojówkami, powiedział im kilka komplementów, a tylko jakby od niechcenia zaczął rozmawiać o dokonanej kradzieży.

Tem postępowaniem ośmielona służba, zaczęła swobodnie wypowiadać różne przypuszczenia, ajent zaś słuchał cierpliwie i wpatrywał się spokojnie w mówiących. Potem pożegnał służbę i udał się do Duranda.

Ze służbą już się załatwiłem, a teraz proszę bardzo, abym się mógł widzieć z pańską córką i jej towarzyszką. Jak się nazywa towarzyszka pańskiej córki?

— Nelly Brown.

— Jak dawno jest u państwa?

— Oko o dwóch miesięcy.

— Czy państwo z niej zadowoleni?

— Mnie się bardzo podoba, ale moja żona czuje do niej jakąś antypatyę.

— Niechże pan będzie łaskaw poprosić córkę i panny Brown.

Durand zadzwonił, wszedł służący.

— Poproś moją córkę i powiedz, żeby przyszła z nią panna Brown.

— A czy pańska córka okazuje wiele życzliwości towarzyszce?

— Zdaje mi się, że ją bardzo lubi i ceni.

— Mimo tego, że widzi u matki antypatyę? Czy stara się tę antypatyę złagodzić?

— Zachowuje się wobec tego zupełnie obojętnie.

Po chwili zjawiła się Nelly Brown.

— Jestem na rozkazy pańskie, — rzekła, zwracając się do Duranda i udając, że ajenta nie widzi.

— A moja córka?

— Panna Laura przyjść nie może, bo jest chora.

— O, mój Boże, cóż takiego?

— O, nic, — odpowiedziała Nelly — cośkolwiek migreny, która zapewne do wieczora przeminie.

Mówiła to z niejakiem zakłopotaniem, które nie uszło uwagi ajenta.

— A, jeżeli tak, to trzeba jej dać spokój, ale pani, panno Nelly, zechce udzielić temu panu wyjaśnień, w sprawie popełnionej u nas kradzieży.

— Jestem do dyspozycyi.

Nelly była osobą wcale przystojną, ale niemiłą Z jej twarzy bił wyraz jakiejś zaciętości, czy bodaj silnego oporu. Znać było, że wysila się na to, aby wciąż nad sobą panować i okazywać się nie taką, jaką jest, ale jaką stosownie do okoliczności być pragnie. Ajent rozmawiał z nią napozór o rzeczach błachych, jakby mu zależało na tem, aby rozmowę przeciągnąć. Wreszcie przerwał i podziękował za dane wyjaśnienia. Nelly odeszła, a również i ajent skłonił się Durandowi z pożegnaniem.

— Przepraszam pana — rzekł Durand — ja się jeszcze o coś zapytam. Dlaczego pan tak dokładnie badał zamki i zasuwy w oknach? Czy pan sądzi, że były naruszone?

— O, nie panie. Ani drzwiami, ani oknami złodziej z ulicy nie wdarł się do mieszkania pańskiego?

— Jakto pan rozumie? — rzekł zaniepokojony i zdumiony Durand.

— Tego w tej chwili powiedzieć panu nie mogę, ale ponownie zapewniam, że złodziej z ulicy nie przybył

— Więc dlaczegóż pan tak dokładnie badał zamki?

Ponieważ bywają złodzieje domowi, którzy dla odwrócenia od siebie podejrzeń, uszkadzają zamki i zasuwy. Tutaj z tego nie uczyniono, a więc złodziej był bardzo pewnym siebie i ufał w to, że się przeciw niemu podejrzenie zwrócić nie może.

Durand niespokojnie zaczął się przechadzać po gabinecie, namyśla się przez chwilę, a potem rzekł:

— Właściwie powiedziawszy, nie rozumiem pańskiego postępowania. Zarówno służbie, jak i pannie Brown zadawałeś pan nic nie znaczące pytania, z którychby właściwie niczego dociec nie można, a jednak mówisz mi pan rzeczy, które mnie niepokoją.

— Zdaje mi się, że nie dałem powodu do zaniepokojenia.

— Ja to nie, skoro pan tak wyraźnie wskazuje na jakiegoś domowego złodzieja.

— Niech pan wyraźnie posłucha. Język potrafi ukryć tajemnicę, ale usta ludzkie i twarz bywają otwartą księgą dla każdego, kto w nich czytać chce i umie. Jeden rzut oka, jedno drgnienie ust, jedno poruszenie głowy, powiedzą mi stokroć więcej, niż tysiące słów.

— I cóż pan wyczytał w twarzach mojej służby?

— Że pośród niej niema złodzieja.

— A mówiłeś pan o domowym złodzieju.

— Tak panie, jest domowy złodziej, ale nie pomiędzy służbą.

— A więc któż nim jest? — rzekł Durand, w wysokim stopniu rozdrażniony.

— O tem we właściwym czasie dowie się pan od pana Stuarta, ja już stanowczo nic więcej powiedzieć nie mogę.

Ajent pożegnał się i wyszedł, a Durand zamyślił się głęboko.

Ajent znalazłszy się na ulicy, miał już jakieś swobodniejsze ruchy i szybko zdążał ku domowi, gdy spostrzegł przed sklepikiem jakiegoś człowieka, trzymającego ręce w kieszeni. Ubrany był niedbale, nawet po części obdarty, czapkę na oczy nasunął. Zaczerwieniony nos, wskazywał, że to jakieś pijaczysko. Ajent zbliżył się do pijaka z uśmiechem na ustach i zapytał:

— Czy nie moglibyście mi pokazać, którędy się idzie do hotelu Tremont?

— A czemu nie? może i pokażę, jeżeli znajdę adres w kieszeni; poszukam.

— Co ty tu robisz Bob — rzekł ajent do pijaka.

— A, ty Neil, skąd się tu wziąłeś?

— Jestem w robocie i tak mi wypadło, że muszę równocześnie zjawiać się jako Neil Stuart i jako inny ajent.

— Ale wiesz co, chłopcze, że ci się znakomicie udało. Byłbym cię nie poznał. Powiedzże mi, co tropisz?

— Córkę, która okradła swojego ojca. A ty co?

— Spotkałem tu znanego w Londynie szulera, łajdaka ostatniego rzędu. Skoro tu jest, to niezawodnie albo w Londynie coś zrobił i uciekł, albo też tutaj o czemś złem zamyśla. Nie spuszczę go z oka.

W tej chwili wysunął się z domu jakiś wysoki mężczyzna z kobietą okrytą welonem i podszedł z nią do czekającego powozu. Umieścił ją w powozie, poufale się pożegnał i nie ruszał się z miejsca dopóki powóz się nie oddalił. Potem poszedł w przeciwnym kierunku i nie uważał, że jakiś pijaczyna bezustannie za nim postępował. Był to Bob Jocellyn, który na widok wysokiego mężczyzny pożegnał się prędko ze Stuartem.

Stuart spojrzał na zegarek, a przekonawszy się, że ma jeszcze wiele czasu, puścił się bez planu po mieście.

Zamyśliwszy się nie spostrzegł, że się niespodzianie znalazł w jakimś nieznanym zaułku. Już chciał wciąść do dorożki i pojechać do domu, gdy nagle usłyszał głos przerażonej kobiety:

— Ratujcie kto w Boga wierzy! Morderstwo! Pomocy!...

## IV.

## ZAGADKI.

Usłyszawszy wołanie o pomoc, Stuart pospieszył ku domowi, przed którego bramą zobaczył młodą, przerażoną dziewczynę.

— Co się stało? Gdzie jakie morderstwo? — zapytał dziewczyny

— Na trzeciem piętrze panie, zaraz pokażę.

To rzekłszy poprowadziła Stuarta po ciemnych, zniszczonych schodach zapełnionych już zaniepokojonymi mieszkańcami domu. Rzecz to była niezwykła: napad mordercy w dzień biały.

Gdy Stuart zdążał pospiesznie, ciekawsi z mieszkańców poszli za nim i wyczekiwali pod drzwiami, co z tego będzie. Stuart chciał wejść do wskazanego sobie mieszkania, ale drzwi były zamknięte. Przy pomocy kilku mieszkańców wważył je prędko i gdy tylko próg przekroczył, spostrzegł wysokiego mężczyznę, który chciał umknąć.

Stuart zastąpił mu drogę, lecz w tej chwili ów mężczyzna dobył sztyletu.

Z niesłychaną zręcznością skręciwszy mu nagle rękę, Stuart wyrwał sztylet i tak silnie uderzył pięścią mordercę, że padł jakby omdlały.

— Zawołajcie policyi i wezwijcie lekarza — rozkazał Stuart i wszedł do pokoju.

Tu zobaczył leżącą na podłodze ciężko ranną kobietę, a obok niej portfel niewielki. Podjął go i schował. Raniona kobieta leżała bezprzytomna. Na szczęście wkrótce zjawił się lekarz i ranną opatrzył. Przybyła też i straż policyjna. Stuart oddał zbrodniarza w jej ręce, a potem zwrócił się do owej dziewczyny, która wzywała pomocy; była to córka właścicielki domu.

— Muszę z panią pomówić na osobności, więc proszę mi wskazać swoje mieszkanie. Jestem urzędnikiem policyi i mam prawo i obowiązek żądać od pani wszelkich wyjaśnień.

Stanowczy ton mowy Stuarta wywarł wrażenie na wszystkich tak, że z widoczną ulgą i uspokojeniem rozchodzić się zaczęli. Znalazłszy się w mieszkaniu właścicielki domu, rozpoczął indagacyę.

— Czy pani zna zranioną osobę?

— Bardzo mało. Mieszka u nas dopiero od trzech dni, a przez ten czas prawie się nawet nie pokazywała.

— Jak się nazywa?

— Thomson.

— A ten mężczyzna? Czy go pani przedtem widziała?

— Jego zobaczyłam dziś po raz pierwszy. Przyszedł tu przed godziną i powiedział, że chce siostrę odwiedzić. Jakoś w kwadrans po tem, gdy przyszedł, przechodziłam koło drzwi mieszkania pani Thomson i usłyszałam bardzo głośną kłótnię. Zaciekawiona tem, wsunęłam się niespostrzeżenie do przedpokoju i przysłuchiwałam się wszystkiemu.

— O cóż się tak kłócili?

— Nie wiele mogłam zrozumieć. Ten pan, który się za brata przedstawił, domagał się od niej pieniędzy, które miała otrzymać od jakiegoś bogatego Anglika. Ona odpowiedziała mu, że nic nie ma, na co ów brat obrzucił ją obelgami i coś jej wydrzeć usiłował, bo słyszałam szamotanie i głos pani Thomson: „Nie oddam, choćbym umrzeć miała". W chwilę potem usłyszałam jęk przeraźliwy i rozpaczliwy głos pani Thomson: „Zbójco, morderco!". Wtedy zbiegłam co tchu na ulicę i zawołałam o pomoc.

Nie dowiedziawszy się niczego więcej, wrócił Stuart na miejsce zbrodni. Zraniona kobieta leżała już na łóżku, a lekarz starannie opatrywał ranę.

— Ciężko ranna?

— Rana wprawdzie śmiertelna, ale jest nadzieja ocalenia.

— Czy można ranną przewieźć do szpitala?

— Może jutro, jeżeli dożyje.

Była to kobieta niemłoda, o rysach twarzy miłych i szlachetnych. Stuart oddał ją pod opiekę właścicielki domu, a że już właściwie nie miał tu co robić, udał się do domu.

Rozebrawszy się z przebrania, chciał zaraz przeglądać papiery w portfelu zawarte, ale przypomniał sobie, że już czas zbierać się na herbatę do Durandów.

Zaledwie się ubrał i do wyjścia sposobił, przyszedł po niego Arteveldt.

— Mamy jeszcze pół godziny czasu, więc możemy porozmawiać, jeżeli pan pozwoli.

— I owszem — rzekł Stuart — zwłaszcza, że niezawodnie będzie pan opowiadał o pięknych dziewczętach.

— Tym razem nie mów pan w liczbie mnogiej, bo od wczoraj już tylko o jednej rozmawiać mogę.

— Zapewne o tej pięknej przyjaciółce panny Kati Scaton? Jakże się nazywa ten nowy ideał pański?

— Panna Armyn. Śmiej się pan ze mnie, że mi się podoba, ale zapewnić muszę, że po raz pierwszy jestem naprawdę zakochany. To mię ogromnie gniewa, że muszę z panem iść do Durandów, zamiast do Ruthvenów.

— Więc panna Durand straciła już wszelki powab dla pana? A jakżesz pan się dzisiaj z nią witał, przyszedłszy się usprawiedliwić z wczorajszej niebytności?

— Na szczęście nie widziałem jej wcale, bo mi jej towarzyszka oświadczyła, że jest chora.

— Może ma migrenę?

— Coś takiego.

— Te migreny bywają niekiedy w różnych wypadkach bardzo przydatne — rzekł Stuart od niechcenia. — Ale, ale... znasz pan dokładniej towarzyszkę panny Durand?

— Dosyć powabna dziewczyna.

— To za mało do charakterystyki.

— Cóż panu powiem? Chyba same przypuszczenia.

— Choćby i tyle.

— Otóż zdaje mi się, że panna Brown jest cokolwiek skryta, sztywna, a przytem posiada coś w swoim charakterze, coby może zuchwałością nazwać można.

— Dodaj pan jeszcze, że jest przebiegła, i jak to mówią kuta na cztery nogi.

— Rzeczywiście, trafna uwaga, zdaje mi się, że właśnie tem, co pan przebiegłością nazwałeś, zyskała sobie wpływ na panią Durand.

— Dajmy spokój już tym paniom, a teraz powiedz mi pan jeszcze raz, czy mogę liczyć na to, że pan mego *incognito* nigdzie nie zdradziłeś.

— Zapewniam najuroczyściej. Nie jestem świętym człowiekiem, to prawda, ale niewdzięcznikiem nie byłem nigdy

— Więc pan jeszcze pamięta o swej przygodzie w Bostonie?

— I o przygodzie pamiętam i o tym, który mię z największego niebezpieczeństwa wybawił.

— Bostońskie doświadczenie powinnoby dla pana być przestrogą na całe życie — rzekł Stuart znacząco.

— O, tak, tak — odpowiedział Arteveldt, jakby chciał przerwać rozmowę. — Ale teraz służę panu, chyba pojedziemy.

Trudno chyba spotkać dwóch znajomych o tak sprzecznych charakterach, jak Stuart i Arteveldt. Jeden energiczny, rzutny, pojmujący życie i jego obowiązki poważnie i uczciwie, drugi płytki, gnuśny lekkomyślnik, żyjący z dnia na dzień, bez celu, a jednak Arteveldt szukał towarzystwa Stuarta, a Stuart nie usuwał się od niego. Przypadek sprawił, że się poznali

Arteveldt pojechał raz do Bostonu, gdzie wpadł w szajkę oszustów, którzy go zwabili do nory szulerskiej, najgorszej kategoryi. Gdy już wszystkie pieniądze od niego wygrali, oczywiście fałszywemi kartami, spoili go i już zamierzali ze wszystkich kosztowności obrabować, jakie miał przy sobie, gdy nagle zjawiła się zbrojna policya pod przewodnictwem Stuarta, dawno już śledzącego ową bandę i uwolniła Arteveldta. Stuart zaopiekował się nim i zwróciwszy mu pieniądze przez szulerów zagrabione, wyprawił go do domu.

W kilka miesięcy po tem, spotkał Arteveldt, swojego wybawcę na ulicy w Chicago, poznał go natychmiast, zaprosił do swej matki. Pani Arteveldt, wdzięczna za przysługę wyświadczoną synowi, ofiarowała Stuartowi gościnę w swym domu z taką uprzejmością, że odmówić nie wypadało i przez kilka tygodni z niej korzystał. Poznawszy Arteveldta dokładnie, widząc jego lekkomyślność niepoprawną, uważał za właściwe podziękować za gościnność, zwłaszcza, że zażyłe stosunki Arteveldta z Fergussem nasuwały mu różne przypuszczenia.

Gdy Stuart z Arteveldtem do willi Durandów jechali, siedziała panna Durand w swoim buduarze przed ogromnem zwierciadlem i czyniła przegląd swych wdzięków i swego stroju.

Dziedziczka milionera mogła liczyć około dwudziestu lat; była wzrostu małego, co atoli nie ujmowało jej piękności, bo figurę miała zgrabną. Złociste blond włosy zaczesywała oryginalnie i z wielkim wdziękiem, chociaż figura była jakby wymuszona, jakby sceniczna. Te jasne włosy dziwnie odbijały od ciemnych oczu, mających oprawę tak niezwykłą, że musiały zwracać na siebie uwagę, choćby nawet najobojętniejszych. Cerę twarzy miała bardzo delikatną, pięknie zabarwioną, jakby się tam białe lilie z różami zmieszały. Umiała też ubierać się do twarzy i strojem dodawać sobie jeszcze wdzięku i uroku.

Laura z zadowoleniem wpatrywała się w zwierciadło, gdy drzwi się otwarły i weszła panna Brown.

— Przyszedł Arteveldt ze swoim przyjacielem.

— A cóż to za przyjaciel? — spytała Laura z kapryśnem lekceważeniem.

— Zobaczysz go sama

— A ty go nie znasz?

— Tak znam go, ale tylko z nazwiska. Nazywa się Stuart.

— Któż to jest ten pan Stuart?

— Jakto? nie wiesz o tem? To dziwne.

— Dlaczego?

— Wszakże to głośny ajent policyjny.

Na te słowa Laura zadrżała, ale opanowała się prędko. Mimo tego panna Brown uśmiechnęła się ironicznie i szyderczo spojrzała na Laurę.

— A skądże wiesz o tem? Gdzieś go spotkała lub poznała? — rzekła Laura również z odcieniem ironii.

— To obojętne, dosyć że wiem, iż to ajent policyjny, a do tego ma sławę najznakomitszego we wszystkich stanach Ameryki. Dotychczas nie uszedł mu żaden zbrodniarz; ma być tak zręczny — mówiła panna Brown z dziwnym naciskiem — że nawet z oczu umie wszystko wyczytać, a nawet z barwy włosów.

Laura ponownie drgnęła, lecz jakby żartując zapytała:

— Czy o tem wiesz z własnego doświadczenia?

— O tyle, że gdy byłam w New Yorku aktorką, Stuart przyszedł za kulisy i aresztował wychodzącego już na scenę aktora, poznawszy go pomimo tego, że sobie włosy z ciemnych na jasne ufarbował. Dodam jeszcze, że ten Stuart to śliczny chłopiec.

— Istotnie? Wywarł na tobie wrażenie?

— O, spodoba ci się niezawodnie.

— A więc chodźmy do salonu.

## V.

## CIEKAWE LISTY.

Dość późnym wieczorem wrócił Stuart od Durandów i zaraz zabrał się do spisywania notatek, jak to każdego dnia czynił.

„Nie doznawałem nigdy jeszcze takich wątpliwości, jak teraz. Pierwsze podejrzenia zaczynają mi się zupełnie rozwiewać. Czy to możliwe, żeby ona ukradła? Uważałem, że ją oboje Durandowie niemal ubóstwiają, że jej niczego nie szczędzą, więc jakiż byłby powód do kradzieży? Przy tem ta piękna twarz wydaje się tak szlachetną, że niepodobna wyobrazić sobie nikczemnej duszy ukrytej w takiej piękności.

(Ciąg dalszy nastąpi).



**Otwarcie warszawskiej Transatlantyckiej Radio-stacyi:** Prezydent Rpltej oprowadzany w otoczeniu zaproszonych gości po terenie stacyi.

## Otwarcie warszawskiej Transatlantyckiej Radio stacyi.

Młoda Polska, dopiero co wskrzeszone państwo, dotrzymuje jednak mimo to kroku w pochodzie wielkich mocarstw.

Nasza armia cieszy się opinią jednej z najlepszych na kontynencie europejskim, awiatyka rozwija się nader pomyślnie i są wszelkie widoki, że zajmie również w Europie wybitne stanowisko: żelazne koleje, marynarka wojenna i handlowa cieszą się wzorowem urządzeniem i administracyą.

Obecnie Polska wstąpiła w szereg pierwszych państw na świecie pod względem komunikacyi telegraficznej.

Tymi dniami założono w Warszawie transtlantycką radio stacyę, łącząca metropolię naszego Państwa bezpośrednio z Ameryką.

O doniosłości tej instytucyi dla Polski zbytecznie się rozpisywać. Kto wie co jest radio-telegrafia pojmie łatwo olbrzymie znaczenie tej stacyi

W uroczystem otwarciu uczestniczyli prócz przedstawicieli Ameryki — reprezentanci naszych najwyższych władz i instytucyi.

Rycina nasza wyobraża Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej oprowadzanego w otoczeniu zaproszonych gości po terenie stacyi.

## Park węży w Sao-Paulo w Brazylii.

Klimat nasz, aczkolwiek posiada wiele przykrości, a zmiennością i niestałością swoją niejednemu we znaki się daje klimat, a raczej strefa umiarkowana ma olbrzymią zaletę: przyroda jego nie kryje w sobie tych strasznych niebezpieczeństw, w jakie obfitują kraje podzwrotnikowe i biegunowe. Niema u nas zjadliwych trucizn roślinnych ani dzikich krwiożerczych zwierząt dybiących na człowieka, a zwłaszcza potwornych wężów, których ukąszenie momentalnie śmierć sprowadza.

Nie tak jest w krajach gorących n. p. w Brazylii, gdzie walka z tymi wrogami rodzaju ludzkiego musi być systematycznie i celowo prowadzona.

W mieście Sao-Paulo w Brazylii w olbrzymim parku znajduje się Instytut Pasteura, gdzie wśród innych działów najpoczestniejsze miejsce zajmuje hodowla jadowitych wężów.

Wstrętne te potwory należycie izolowane są wychowywane z nadzwyczajną pieczołowitością, pochodzącą oczywiście nie z miłości człowieka do tych gadów.

Z jadu ich przyrządza się pod dozorem przyrodników i lekarzy serum, t. zn. szczepionkę przęciwdziałającą okropnym skutkom ukąszenia.

Rycina nasza przedstawia część parku imienia Pasteura przeznaczoną na hodowlę jadowitych wężów.

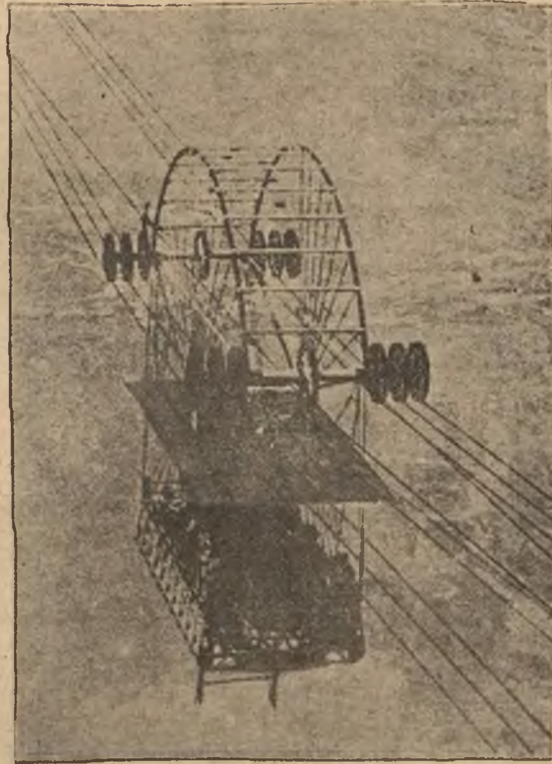
Widzimy tam dozorcę otoczonego rojem kłębiących się płazów, które zamieszkują specyalne dla nich urządzone sztuczne gniazda. Przedstawiona jest tu chwila karmienia.



„Park wężów" w Sao-Paulo w Brazylii: Karmienie wężów, których jad przeznaczony jest do wyrobu serum.



**Radio-telefoniczny kościół:** Zbudowany na aucie miniaturowy kościółek, skąd drogą telefonu iskrowego idą w świat kazania i muzyka kościelna.



**Karkołomna podróż:** Nowo zbudowana nad Niagarą kolej linowa łącząca brzeg amerykański z kanadyjskim.





**Wykłady — w pociągu kolei żelaznej:** „Profesor“ wykłada pasażerom podczas jazdy o „dalekich“ krajach Europy.

Aczkolwiek ten najwyższy a krwawy wymiar sprawiedliwości ma wielu przeciwników — przyznać jednak każdy musi, że ten ostatni akt jest nietylko zadośćuczynieniem ale zarazem i samoobroną społeczeństwa wobec niepoprawnych zbrodniarzy.

Sposób i narzędzia kary śmierci są rozmaite w rozmaitych państwach.

Przeważnie tracą zbrodniarzy przez powieszenie na szubienicy. W Prusach ścina ich kat toporem, w Hiszpanii duszą okowami t. zw. „carrotą“, w Ameryce giną łotry na „elektrycznych fotelach“— we Francyi na gilotynie.

Jeżeli może być mowa o „humanitarności“ w odbieraniu życia człowiekowi, to zdaniem „rzeczoznawców“ najbardziej „ludzkim“ przyrządem, a raczej machiną śmierci — jest francuska gilotyna, wynalazku z epoki wielkiej Rewolucyi francuskiej, pomysłu dr. Guilot, który też sam w końcu na niej zginął.

Gilotyna odłączając jednem cięciem potężnego noża głowę skazańca od kadłubu — sprowadza podobno śmierć natychmiastową wskutek przecięcia kręgosłupa.

Trudno zresztą wypowiedzieć w tej mierze zdanie, nikt bowiem jeszcze ze zgilotowanych nie powrócił do życia i wrażeń swoich nam nie opowiadał.

Więcej pewnem jest, że trwoga śmierci i ostatnie chwile zbrodniarza, są w każdnym razie straszniejsze niż sam akt egzekucyi, przy której delikwenta opuszcza zazwyczaj przytomność i zdolność odczuwania jakichkolwiek czy to fizycznych, czy moralnych wrażeń.

Egzekucya odbywa się zazwyczaj o świcie na miejscu zupełnie odosobnionem, strzeżonem kordonem wojska, a w asystencyi duchownego i wyznaczonych przepisami prawa przedstawicieli władz.

Tymi dniami stracony został w Paryżu za pomocą gilotyny niebezpieczny zbrodniarz, kilkakrotny morderca Jaques Sachétte, który ostatnio zabił rodzonego ojca w celach rabunkowych.

Złoczyńca był przytomnym do ostatniej chwili i do ostatniej chwili instynktowo bronił się, a miał podobno nadludzką siłę.

Chwilę tej strasznej walki przedstawia nasza rycina...

Daremne wysiłki łotra! Sprawiedliwość jest w pewnych wypadkach nieubłaganą...

## Wykłady — w pociągu kolei żelaznej.

Wynalazek ten, a raczej pomysł — znowu zawdzięczać należy Ameryce, krajowi, który wziął sobie za hasło ekonomiczne: „Czas — to pieniądz“. Zasadę tą umieją Yankesi cudownie przystosowywać do wszelkich okoliczności życia prywatnego i publicznego...

„Byle czasu nie tracić!“...

Dzięki tej zasadzie ma amerykanin czas na godziny tak rozdzielony jak najpilniejszy uczeń szkolny. W rozkładzie tym uwzględniony jest czas snu, posiłku, pracy i zabawy, sportu i służby politycznej.

Wykorzystaną jest każda chwila, niemal każde mgnienie powiek.

W życiu amerykanina olbrzymią role odgrywa — podróż. Ruchliwość jego temperamentu najlepiej znamionuje ustawiczne przenoszenie się z miejsca na miejsce, czy to będzie w wozie tramwajowym, pulmanowskim wagonie kolei, na statku czy w aeroplanie.

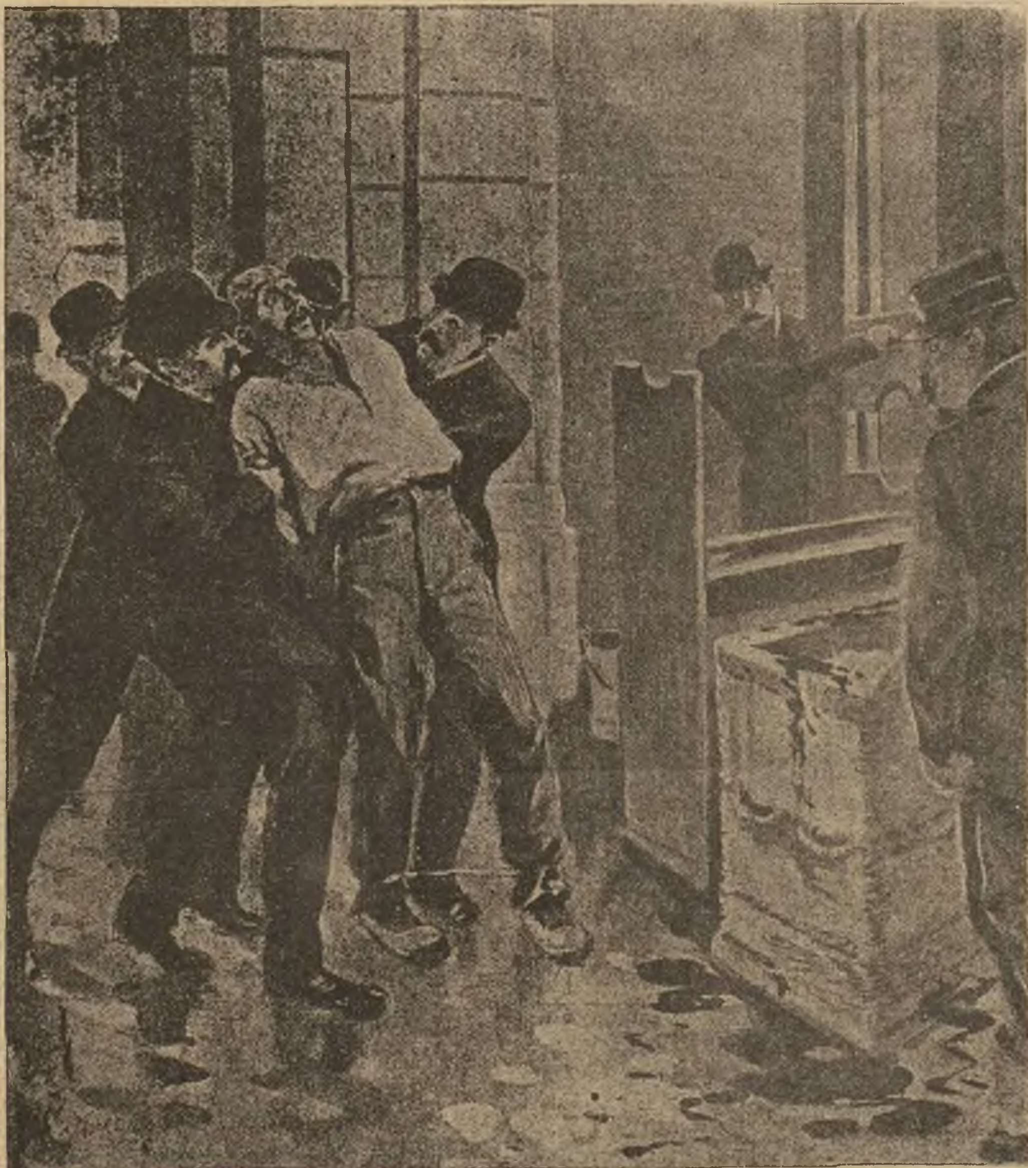
Czy w czasie podróży skazany on jest na bezczynność? Bynajmniej! W wagonie czyta on dzienniki, agituje za swoimi „typami“ politycznymi, a nawet robi interesy.

A oto i illustracya z życia amerykanina w podróży, zdjęta na miejscu i przesłana nam przez jednego z naszych korespondentów z za Oceanu.

Zapełniony pasażerami pulmanowski wagon żel. kolei. Pod jedną ze ścian stoi „profesor“ i posiłkując się rozwieszoną mapą — wykłada... geografię... o krajach i ludach dalekiej Europy. Audytorium, jak widzimy bardzo rozmaite, większość jednak śledzi z pilną uwagą wywody pana profesora.

## Przed gilotyną.

Złość i nieprawość ludzka dochodzi u niektórych osobników do tak potwornych rozmiarów, kryminalistyka ma nieraz do czynienia z tak zatwardziałymi zbrodniarzami, że jedyny wymiar sprawiedliwości na tych wyrzutków społeczeństwa— jest kara śmierci.



**Przed gilotyną:** Ojcobójca Jaques Sachétte wleczony przez pomocników kata na szafot.

## Nieszczęśliwy wypadek na polowaniu.

Nastała zima, a z nią i uciechy życia myśliwskiego.

Dla prawdziwego, jak to mówią „zawołanego“ rycerza kniei czyż może być większa roskosz nad uganianie się ze strzelbą za zającem, obława na dzika lub wilki, gdyż o grubszym zwierzu dziś w Polsce mowy już nawet niema.

Minęły bezpowrotnie czasy żubrów, niedźwiedzi i rysiów, które prawie doszczętnie wytępiono. Na pociechę myśliwca został jeszcze zając i sarna, wilk i prawdziwie niebezpieczny dzik.

Polowanie — ten prawdziwie rycerski, polski sport połączony jest jednak z wielu niebezpieczeństwami, z których największe przedstawia — niestety! — własna nieostrożność w obchodzeniu się z bronią. Karygodne poprostu lekceważenie, którego ofiarą pada nieraz życie ludzkie.

Straszny wypadek na tem tle wydarzył się tymi dniami w lasach Beskidu w dobrach jednego z magnatów: Polanka górna.

Miało się odbyć polowanie na dziki. Zmobilizowano, jak zwykle w takich razach okoliczną ludność wiejską do nagonki i obławy, sproszono okoliczne obywatelstwo, nie brakło nawet przedstawicielek pięknej płci, które zaciągnęły się ochotnie pod znaki Diany.

Obfity łup dostał się myśliwcom w postaci kilku potężnych odyńców.

Ale właścicielowi tych lasów — Kobierskiemu który cieszył się opinią zajadłego nemroda — nie wystarczało to. Z ochoczą drużyną zapalonych jak i on myśliwych zapuszczał się coraz dalej w głąb lasu w pościgu za upatrzonym odyńcem.

Wtem zagrzmiał strzał, a równocześnie zachwiał się śmiertelnie ranny Kobierski i runął na ziemię.

Poskoczono na ratunek, ale ten okazał się już zbytecznym. Stary myśliwy prawie momentalnie wyzionął ducha.

Jak wszczęte na miejscu dochodzenia wykazały, jeden z orszaku myśliwych, siostrzeniec Kobierskiego demonstrując swojej towarzyszce urządzenie strzelby spowodował strzał, który stał się śmiertelnym dla starego myśliwego.

Ś. p. Kobierski osierocił żonę i kilkoro dzieci.



Nieszczęśliwy wypadek na polowaniu: Właściciel dóbr Kobierski pada trupem, rażony przypadkowym strzałem swego kuzyna.

## Przychwycenie bandytów na Pokuciu.

(Od naszego korespondenta).

W jesieni zeszłego roku zorganizował Koźma Własijczuk bandę, w skład której weszli prócz hersztа: Ołeksa Ławruk, Semen Uhryńczuk, Wasyl Kusznir i Mojsej Hajowy, zwany ogólnie „atamanem“, gdyż chodził on w mundurze bolszewickiego oficera. Banda ta przez cały rok blisko grasowała bezkarnie, popełniając niezliczoną ilość morderstw, napadów i rabunków.

Głównym terenem działalności osławionej piątki był powiat kołomyjski, peczyniżyński i kosowski, częstokroć jednak, gdy władze zbyt ostro nastawały im na pięty, przekradał się Własijczuk ze swymi towarzyszami do Rosyi.

Własijczuk sam trwonił w bezmyślny sposób zdobyty pieniądz, matce zaś swej pozwalał konać w skrajnej nędzy.

Jednakowoż w ubiegłym miesiącu powinęła się noga niebieskim ptaszkom, kiedy to podczas zabawy w Werbiążu napadli na Prokopa Kuturtasza, pożgali go nożami i wrzucili do Prutu.

Posterunek P. P. w Werbiążu urządził natychmiast obławę, uwieńczoną pomyślnym skutkiem. Cała banda znalazła się pod kluczem, a obecnie prowadzone jest energiczne śledztwo, które wykazuje całą grozę bestyalstwa pięciu towarzyszy. W przychwyceniu bandytów odznaczył się cały Posterunek P. P. w Werbiążu, a specyalnie jego dzielny komendant: przod. Kaniowski, st. post. Łazanowski, post. Keudel i post. Sanojca, którym to Okręgowa Komenda P. P. wyraziła swoje uznanie i pochwałę.

Zamieszczoną w niniejszym numerze fotografię bandytów znaleziono przy nich podczas rewizyi i pozwolono skopiować naszej Reprezentacyi redakcyjnej.





Bandyci na Pokuciu: Koźma Własijczuk z uzbrojonymi opryszkami.



## Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem Piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie przysłać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem Piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod nią nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya Nowości Illustrowanych“, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*



**„Kuryer Stanisławowski"**

Pismo kresowe, wychodzi co tygodnia w Stanisławowie, przynosząc najaktualniejsze wiadomości z życia Polonii kresowej, jakoteż obszerny dział ogłoszeń handlowych.

---

Nowość! Nowość!

WACŁAW GRABIAŃSKI

**TRAGICZNA PODRÓŻ**

Cena zasadnicza 1.—.

Tegoż autora:

| | Cena zasadn |
|---|---|
| **Wojenny balonik** | 1.— |
| **Piekło** | 2.50 |
| **Rymy i proza** | 1.50 |
| **Przesilenie** | 1.— |
| **Dwie noweie** | 0.50 |
| **Niedyskrecye księżyca** | 0,50 |

Mnożnik — ustalony przez Związek księgarzy-wydawców w Warszawie

GEBETHNER i WOLF, KRAKÓW.

---

# Materyały wełniane!

**na suknie i kostyumy damskie**

**na ubrania męskie**

**płaszcze i raglany. Marktzety, batysty, woale, perkale, zefiry i szyfony**

**wszystko w wielkim wyborze i po cenach konkurencyjnych**

poleca

**KAROL JAROSZ**

**Kraków, Floryańska 35 (róg ul. św. Marka).**

---

**REFORMA PRAWA MAŁŻEŃSKIEGO**

przez Dra Z. Mandla adwokata w krakowie omawia problem rozwodu, seperacji, ślubów cywilnych i t. d z uwzględnieniem ustawodawstwa trójdzielnic.

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH.

---

# Stanisław Hachaj

**ul. św. Tomasza l. 9.**

**Magazyn i pracownia obuwia damskiego, meskiego i dziecęcego.**

Najnowsze fasony angielskie, francuskie, warszawskie, stale na składzie w wielkim wyborze.

---

**FIRANKI, PORTJERY I KAPY NA ŁÓŻKA**

poleca w wielkim wyborze i po cenach bardzo przystępnych firma

**KAROL JAROSZ**

**Kraków, Floryańska 35.**

---

# Kto poszukuje krewnych

## w Ameryce,

lub chce wejść w stosunki handlowe z Polonią Amerykańską ten powinien ogłosić o tem w

## „Kuryerze Polskim"

**z Miwaukee, Wis. U. S. A.**

Najstarsze i najpoczytniejsze codzienne pismo polskie w Ameryce. — Posiada przeszło 100,000 czytelników. Za ogłoszenia z kraju Kuryer Polski pobiera specyalnie niskie ceny.

**Reprezentacya na Polskę**

## Agencya „Par" w Poznaniu.

---

Czy chcecie od waszego **REUMATYZMU** gruntownie być uwolnieni? Tysiąc już wyleczonych!



Bóle w członkach i stawach, spuchnięte członki, okaleczałe ręce i nogi, kłócie i bóle w rozmaitych częściach ciała, nawet cierpienie oczu są następcami cierpień reumatycznych i gichtycznych.

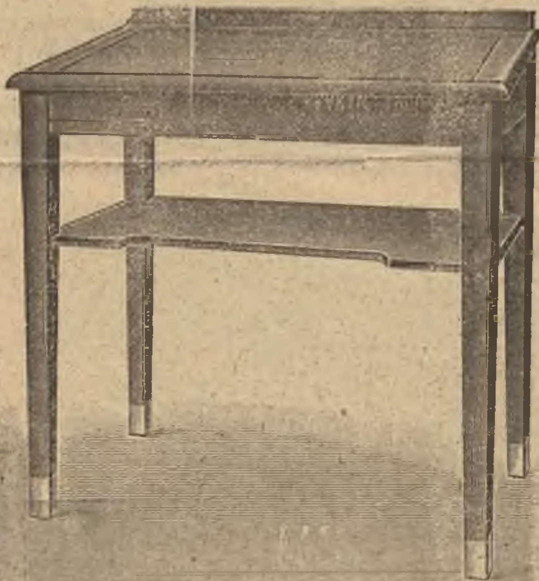
**Proponuję Wam do wyleczenia środek naturalny!**

Zadne lekarstwo uniwersalne, lecz środek leczniczy, jaki łaskawa matka przyroda ofiaruje chorej ludzkości. **Każdemu próba bezpłatna!** Prosze mi napisać natychmiast, a wyszlę Wam całkiem bezpłatnie mój środek i moją rozprawę. Zostaniecie się mojemi wdzięcznymi zwolennikami,



**Exspedition der Opern Apotheke Budapest VI. Abteilung Nr. 663.**

---



Amerykańskie

# urządzenia biurowe

## „JERRY"

Ska z ogran. odpow.

Centrala: Kraków

**Floryańska 28, I. piętro — Telefon 1416.**

Filja: Lwów

**Sykstuska 2.** **Sykstuska 2.**

---

## Zakład cynkograficzny i fotograficzny

„Nowości Illustrowanych"

**W lokalu własnym zaopatrzonym w urządzenia techniczne najnowszych systemów, zapewniające Szanownej Klienteli solidne, tanie i szybkie wywiązanie się z powierzonch nam zadań**

**Adres:**

Zakład cynkograficzny i fotograficzny

„Nowości Illustrowanych"

**Kraków, Kazimierza W. 95, telefon 479**

---

**Zakład techniczno - dentystyczny**

**N. KLEINBERGERA**

**Kraków, Szewska 27 I. p. (narożnik Plant) otwarty od godz. 9—1 i od 3—6.**

Właściciele i wydawcy Spadkobiercy St. Lipińskiego. — Odpow redaktor: Dr. Witold Lipiński. — Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina.